

Co nam zostało z tych knajp?

Zaraz na wstępie zastrzegam, że użyte w tytule słowo „knajpa” nie ma znaczenia pejoratywnego. Chodzi po prostu o wszystkie restauracje, bary, jadłodajnie i inne placówki zbiorowego żywienia (tak to się wtedy nazywało), które nas w przeszłości karmiły, poiły, i, oczywiście, a może nawet szczególnie – rozpijały. Co nam zostało z tych knajp PRL, wszak 22 lipca już jutro?

W pierwszym rządzie restauracja „Europa”, która jest ta sama, ale nie taka sama. Kiedyś była to restauracja z nocnym dancinżem i kuchnią taką sobie.

Specjalnością „Europy” był nieśmiertelny bryzol z pieczarkami i stale zamknięte drzwi w godzinach wieczornych, przed którymi kłębił się tłum amatorów do picia, jako że był to lokal najdłużej czynny w Lublinie. Kto nie dopił się w „Litewskiej”, „Kaczuszcze” czy „Pod Basztą”, ten szturmował drzwi „Europy”. Aby się dostać do środka, trzeba było mieć mocne łokcie i przedrzeć się przez tłum niedopitków, a potem pokazać cieciami banknot stużłotowy. Niektórzy naklejali go sobie na czoło, co było znakiem, że po wejściu do lokalu cieć może go sobie odkleić.

Często, gęsto bywało tak, że szczęśliwiec, który dostał się do środka, stwierdzał, że ...ta stowa dla ciecia jest jego jedynym majątkiem. Portfel zostawał bowiem w rękach żuli, którzy przed wejściem robili sztuczny tłok. Kiedyś w ten sposób okradziono całą drużynę francuskich rugbistów, którzy rozgrywali mecz w Lublinie. Z tym że złodziej, niczym Arsen Lupin, podrzucił szybko paszporty francuskich zawodników.

W dawnej „Europie” bawili się goście dotąd, dokąd grała orkiestra. Kończyła około północy, a później zaczynał się koncert życzeń, czyli ta „guma” dla orkiestry. Podpici balangowicze płacili chętnie, więc zabawa trwała często do późnej nocy. Idąc do tańca należało nie zostawiać na stoliku napełnionych kieliszków, gdyż po tańcach zastawało się je puste, podobnie jak butelkę. To była działalność tzw. „szakali” czy też „sępów”, którzy tylko czekali na takie okazje.

Mimo wszystko bywalcy z rozrzewnieniem wspominają dawną „Europę”. Ta obecna jest całkiem

inna: ekskluzyw, gdzie żadna podpita panna Lodzia nie zrobi strip-tease`u i nikt nikomu wódki nie wypije...

Jeśli mowa o nocnym Lublinie z lat dawnych, to nie sposób nie wspomnieć o „Powszechnej”, gdzie również grała orkiestra i gdzie tańczono do północy.

Tej restauracji już nie ma nawet fizycznie. Została wchłonięta przez „Lubliniankę”. Teraz ekskluzywną restaurację, a kiedyś kawiarnię, gdzie na pięterku grała orkiestra seniora Muncha i gdzie można było potańczyć.

Nie istniejącą już „Powszechną” muszę uhonorować w szczególny sposób, jako że przez pewien czas pracował tam znakomity poeta Aleksander Rozenfeld, a zatrudniał się w charakterze ciecia-wykidajły. Olek Rozenfeld był postacią niezwykle malowniczą. Uwielbiał różnego rodzaju kawały i happeningi. Na przykład siedząc w kawiarni hotelu „Unia”, na widok wchodzącego tajniaka, zrywał się i swoim tubalnym głosem na cały lokal: „Dzień dobry, panie poruczniku”, co powodowało, że tajniak był natychmiast spalony w oczach licznych cinkciarzy, których miał zamiar obserwować.

Jako cieć „Powszechnej” miał niezwykle obrywki od chętnych dopicia się, jako że tam również, jak w „Europie” wieczorem, drzwi były zamknięte, a cieć brał „honorarium” za otwarcie drzwi i wpuszczenie wybrańca. Często trzeba go było wyciągać z tłumu, co kiedyś zaowocowało oberwaniem rękawa od marynarki Olka. Ten spryciarz, a może tylko leniuch, rękaw sobie tylko przyfastrygował, co spowodowało kolejne oberwania i wyciągnięcie odpowiedniej rekompensaty od sprawcy tego czynu. Do czasu jednak, bowiem poeta-cieć trafił na stałego bywalca, który dnia poprzedniego sownie opłacił za oberwany rękaw...i zamiast stowy Olek dostał...lepiej nie mówić.

Cokolwiek by jednak powiedzieć, to Aleksander Rozenfeld miał głowę nie od parady i nie tylko do poezji. W latach dziewięćdziesiątych trafił do kancelarii prezydenta RP, gdzie pełnił odpowiedzialną funkcję w sekcji badającej izraelsko-litewskiej...

Z restauracyjnych salonów nocnego Lublina przenieśmy się teraz na samo dno, do tzw. mordowni, za którą uchodziła między innymi „Zamkowa”, dla zmyłki mająca w szyldzie także napis „restauracja”. Dzisiaj nie ma nie tylko „Zamkowej”, ale także kamienicy, która stała u zbiegu Lubartowskiej i al. Tysiąclecia, vis-à-vis hali sportowej, obecnie market „Koziołek”.

W hali „Koziołka” odbywały się zawody bokserskie, których bywalcy wpadali do „Zamkowej”, aby się rozgrzać. Barmanka nalewała do szklaneczek: pięćdziesiątkę, setkę lub stopięćdziesiątkę, do tego śledzika lub serek. Wystarczyło jednak „odpuścić” barmance pięćdziesiątkę, a nie trzeba było kupować żadnej zakąski, aż do padnięcia pod stolik, co nie było w tym lokalu zjawiskiem rzadkim.

Bar o podobnym charakterze (też dumnie nazywany restauracją) mieścił się przy tzw. klinie w kamienicy, której już nie ma. Została poświęcona wraz z barem „W-Z” na konto poszerzenia skrzyżowania. W owym barze „W-Z” garbusek-harmonista przygrywał podpitym smakoszom, często wykonując „Czerwone maki”, co było nie lada wydarzeniem w tamtych czasach. Honorarium otrzymywał w... pięćdziesiątkach, stawianych przez hojnych bywalców.

Na ulicy Świętoduskiej był bar „Miejski”, nazywany przez bywalców „Cham” lub „Pod Batem”. Jak twierdzą bywalcy, serwowali tam znakomite kotlety mielone i placki ziemniaczane z wiejską śmietaną. Na ulicy Nowej, gdzie teraz jest sklep, był bar „Pod Koziółkiem” tzw. „Bydle”. Serwowano tam znakomite flaki po staropolsku z kaszą jaglaną.

W kolejnej tzw. mordowni, a za taką uchodziła restauracja „Pod Basztą” przy ulicy Królewskiej, w każdy czwartek było świniobicie, a pod świeżyznę wypijano...kto by tam zresztą policzył ile, ale zawsze tego samego trunku.

Można by licytować się, gdzie wypijano najwięcej wódki: w restauracji „Śródmiejskiej” (obecnie sklep z butami), gdzie rządzili aktorzy Teatru im. Osterwy, czy w „Wiśle” (obecnie EMPIK), gdzie brylowali dziennikarze z pobliskiej redakcji „Sztandaru Ludu”, czy też może w „Karasiu” (obecny sklep spożywczy ul. Hempla), „Polonii” (BRE Bank), barze „Centralnym” (obecnie BOŚ).

Ja bym obstawiał klub „Nora”, później przechrzczony na „Pod Strzechą”(Krakowskie Przedmieście – obecnie pusty). Tam bowiem, w tzw. własnym gronie, popijali aktorzy, dziennikarze, literaci i ich orędownicy. Tam nie tylko pito we własnym gronie, ale także doskonale bawiono się i to dotąd, póki starczyło ochoty i pieniędzy na opłacenie ciecica, który co godzina po północy chodził z czapką i zbierał co łaska. To były czasy, mówią bywalcy.

W Lublinie były też bary mleczne, ale zostały zlikwidowane przez miłościwie panującego nam prezydenta Andrzeja i jego ekipę. Chodziły bowiem do nich różne dziady i siorbały, mlaskały i kaszłały. Pfe...